

Salmonowicz, Stanisław

Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego jako przedmiot inwigilacji organów UB i SB

Czasy Nowożytne 13, 179-194

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Salmonowicz

(Toruń)

Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego jako przedmiot inwigilacji organów UB i SB*

Profesor Ryszard Terlecki dotarł do pewnej ilości teczek personalnych wybitnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, teczek pieczołowicie, jeżeli można się tak wyrazić, opracowywanych czy gromadzonych jeżeli nie od lat czterdziestych to od lat pięćdziesiątych po lata siedemdziesiąte–osiemdziesiąte minionej epoki. Dotyczyły te tecki m.in. postaci znakomitych, by wspomnieć tylko Henryka Barycza, Romana Ingardena, Stanisława Pigionia czy Adama Vetulaniego. Lektura to pasjonująca oraz, choć nie z winy autora, rodząca pewne pytania, próby uzupełniania relacji o sprawie a nawet uwagi metodologiczne.

Kwestia pierwsza, bardzo ważna, to nadal niejasny proceder udostępniania akt epoki PRL, podejścia do akt ówczesnej policji politycznej. Wiemy jak rozwiązano te kwestie, moim zdaniem udanie, w odniesieniu do archiwów służby bezpieczeństwa byłej NRD. Pomijam tu problem ciągle niejasny, także poruszony przez autora, a przecież dla wielu kwestii kluczowy jakim jest sprawa kompletności dzisiaj tych akt: po pierwsze wiemy, iż z różnych przyczyn, zwłaszcza w odniesieniu do epoki lat 1944–1956, ówczesne władze UB czy SB dokonywały różnego rodzaju selekcji akt a raczej wręcz niszczenia pewnych zespołów czy teczek. Powstaje pytanie, czy istnieje przynajmniej możliwość ustalenia (poprzez jakieś repertoria czy inne wykazy?) czy i w jakich

* Uwagi na marginesie studium Ryszarda Terleckiego, *Profesorowie UJ w aktach UB i SB*, Kraków 2002, ss. 223. Studium obejmuje poza wstępem 8 szkiców poświęconych profesorom: Henrykowi Baryczowi, Waławowi Felczakowi, Konstantemu Grzybowskiemu, Janowi Hulewiczowi, Romanowi Ingardenowi, Stanisławowi Pigionowi, Adamowi Vetulaniemu i Henrykowi Wereszyckiemu.

granicach historyk tych spraw został pozbawiony na zawsze dostępu do pewnej ich ilości, czy to z jakichś przyczyn osobowych, czy z uwagi na specyficzny charakter pewnych grup akt, zwłaszcza tych, które orazować mogły bezprawne działania policji politycznej w okresie do roku 1956. Mutatis mutandis ten sam problem istnieje oczywiście co do epoki następnej – 1957–1989. Wiemy dowodnie, iż całe ogromne zespoły akt zostały zniszczone, nieraz może nawet za pewną zachętą pewnych czynników opozycyjnych. Dotyczy to m.in., jak się zdaje, całego szeregu teczek personalnych kleru katolickiego, jak i generalnie teczek różnych agentów chronionych przez SB w momencie przejmowania władzy przez opozycję. Myślę, iż obecnym piastunom wiedzy archiwalnej należałoby postawić ważny postulat, choć może częściowo niemożliwy do realizacji, a mianowicie ogłoszenia za jakiś czas informatora, który by ujawnił znane–ustalone rozmiary zniszczeń i selekcji istniejącej przynajmniej do 1989 r. archiwalnej podstawy działalności UB–SB. Kwestia następna, wiążąca z niekoniecznie dotąd udanymi próbami udostępniania wiedzy o tajemnicach minionej epoki (a mam tu na myśli zarówno proces tzw. lustracji, jak i bardzo dotąd mało udane próby udostępniania teczek personalnych ówczesnej policji politycznej osobom, które były ofiarami tejże policji). To problem – co właściwie chcemy udostępniać zainteresowanym czy historykom? Jako prawnik i historyk parokrotnie już protestowałem przeciw dziwnym, nie mającym z reguły żadnych podstaw prawnych (nie mówiąc o etycznych) praktykom, które powodują, że na przykład w pracach historyków dotyczących okupacji hitlerowskiej przyjmuje się zwyczaj pisywania o agentach Gestapo bez podawania ich prawdziwych nazwisk¹. Argumenty typu, iż niekiedy zainteresowani żyją, że żyją ich rodziny (!), czy że czasem sprawa nie jest pewna, nie są moim zdaniem argumentami słusznymi: jeżeli sprawa nie jest pewna, to należy to podkreślić, ale badania historyka nie mogą toczyć się w próżni historycznej to raz, anonimowym może pozostać, nolens volens, Gall Anonim ale nie osoby, które odgrywały w naszych czasach konkretną rolę historyczną i muszą ponosić z tego faktu konsekwencje. Jakiegokolwiek argumenty o ochronie czyjejs „prywatności” są tu zupełnie nie na miejscu i trzeba się publicznie spytać czy ma istnieć specyficzna cenzura publikacji historyka dziejów najnowszych? Jeżeli w życiu współczesnym „kryminalnym” można się zgodzić z praktyką nie wy-

¹ Zwracałem na ten problem uwagę w szkicu pt. *Patologie społeczne okresu okupacji hitlerowskiej*, *Czasy Nowożytnie*, t. 3: 1997, s. 5–20, przedruk [w:] S. Salmonowicz, *Polski wiek XX. Studia i szkice*, Włocławek 2000, s. 54–76.

mieniania nazwiska osoby podejrzanej, czy oskarżonej a jeszcze nie skazanej, choć nawet w Stanach Zjednoczonych podaje się w gazetach pełne personalia ofiar i osób podejrzanych, to moim zdaniem zupełnym nonsensem fanatyków „poprawności politycznej”, wydawałoby się wystarczająco już ośmieszonych, byłoby unikanie podawania nazwiska przestępcy skazanego: interes społeczny jest ważniejszy niż interes osoby skazanej a publikacja nazwiska jest elementem dolegliwości, z którym każdy popełniający przestępstwo winien się liczyć. Wracając do spraw działań i akt tajnej policji epoki totalitarnej nie można zaakceptować poglądu, iż osoba zainteresowana – ofiara systemu nie może poznać, czy publikować nazwiska donosiciela czy agenta, który występuje w aktach SB czy UB. Publikacja takich nazwisk winna zależeć bądź od oceny historyka czy to jest konieczne i niezbędne, bądź od oceny zainteresowanego. W przeciwnym razie cała procedura udostępniania akt byłego UB–SB jest właściwie ułomna a dla badań historycznych niewiele warta. Powstaje pytanie co właściwie ma ta procedura ujawniać jeżeli nie personalia osób odpowiedzialnych za takie czy inne kłopoty ofiar systemu? Elementem podstawowym warsztatu pracy historyka, każdego, także i historyka dziejów najnowszych, jest konfrontacja informacji z wiarygodnością – charakterem źródła, Jeżeli takiej krytyki źródła nie sposób przeprowadzić bez orientacji pochodzenia personalnego takiego czy innego dokumentu to trudno mówić o wyciąganiu prawidłowych wniosków!

Faktem jest, iż także R. Terlecki podaje tylko inicjały, pseudonimy czy kryptonimy różnych osób w swym opracowaniu nie podejmując prób ich rozszyfrowania. Niekiedy dla znających cały kontekst środowiska nie jest trudno rozszyfrować te kwestie ale dla przyszłych historyków pozostaje to całkowitą niewiadomą. Czy nie jest podstawowym obowiązkiem historiografii ustalić kto w szeregach pracowników czcigodnego UJ był w latach pięćdziesiątych, czy sześćdziesiątych, gorliwym donosicielem, często bezinteresownym, jeżeli tak się można wyrazić, bo dobrowolnie udzielającym lub przesyłającym informacje, które mogły i szkodziły wielokrotnie różnym osobom jeżeli już nie więzieniem (jak w latach pięćdziesiątych), to w każdym razie utratą pracy, awansu czy paszportu². Sądzę, że te sprawy jakoś publicznie nie dyskutowane nie stały się przedmiotem realistycznej dyskusji historyków i prawników i byśmy za formalistycznym traktowaniem tych

² Dodać należy tu motyw niebagatelny: jeżeli nie rozszyfrowuje tych spraw kompetentny historyk, to osoby trzecie mogą rozszyfrowywać takie czy inne inicjały błędnie tj. na ewidentną szkodę osoby zgoła niewinnej!

spraw nie zagubili najważniejszych problemów historyka dziejów najnowszych. Nie chodzi o dyskusje polityków i ich interesy lecz o problem prawdy historycznej i jej granic. Być może istnieje tendencja, by nie pisać w ogóle o dziejach najnowszych ale trzeba ustalić tu jakieś realne granice archiwalne, przy czym pamiętajmy, iż istnieje III RP, że dzieje PRL stanowią całość zamkniętą, tak jak w swoim czasie dzieje nazizmu i muszą tu obowiązywać inne zasady podejścia do źródeł archiwalnych niż wedle normalnych zasad obowiązujących w państwie, które nigdy nie przestało być państwem prawa...

Czytałem eseje R. Terleckiego z pozycji szczególnej historyka tej epoki ale i zarazem człowieka, który, zgodnie z terminologią socjologiczną, prowadził dla tych spraw swego rodzaju obserwację uczestniczącą, był także podmiotem czy przedmiotem pewnych wydarzeń: byłem w latach 1950–1954 studentem Wydziału Prawa UJ specjalizującym się już wówczas w historii prawa stąd znałem także środowisko humanistów, znałem osobiście niemal wszystkie osoby dramatu, z wieloma byłem powiązany tak mocno, iż mogło się to ówczesnym służbom bezpieczeństwa nie podobać jeżeli posiadały na ten temat informacje. Byłem w szczególności bliski profesora Adama Vetulaniego, jednego z moich mistrzów, współpracowałem także w działaniach quasi nielegalnych z profesorem Hulewiczem. W latach 1955–1956 związany byłem, choć dość luźno, z całą studencko–młodzieżową opozycją październikową na UJ (Stefan Bratkowski, Jerzy Grotowski, późniejsi profesorowie Stanisław Waltoś, Jan Prokop, Antoni Łubkowski i wiele innych osób). W latach 1959–1966 byłem pracownikiem Wydziału Prawa i Administracji UJ, bliskim tym profesorom, którzy byli jak najdalej od komitetu wydziałowego czy uczelnianego PZPR, kierowanego długie lata przez Tadeusza Hanauska i jego dwór. Stąd pewna nuta osobistych refleksji ale i informacji o sprawach poruszonych w książce R. Terleckiego, możliwość rozważenia w pewnej mierze z jakimi rezultatami UB a później SB czyniła środowisko uniwersyteckie czy szerzej intelektualne krakowskie przedmiotem swych działań. Uwaga pierwsza ogólna, którą zawdzięczamy studium R. Terleckiego, a którą potwierdzają moje własne obserwacje i ustalenia. Tajna policja, zarówno przed 1956 r. (a więc w dobie terroru masowego, który wielu ludzi łamał i unieszkodliwiał ale i wielu generalnie zmuszał do chwalebnej ostrożności), jak i zwłaszcza po przełomie lat 1955–1957 – osłabienia, przynajmniej do 1958 r. aktywności służb specjalnych – choć cieszyła się sławą instytucji „która wszystko wie”, w istocie, jak wynika z różnych fragmentów omawianej pracy to, po pierwsze, w me-

andrach naukowo–intelektualnych świata uniwersyteckiego orientowała się stosunkowo kiepsko, po drugie, jej poziom intelektualny, choć może rósł w latach sześćdziesiątych–siedemdziesiątych, w porównaniu z zgrzebną przeszłością, był nadal niezwykle niski. Po trzecie, jednak przejawiała niesłabnącą aktywność, której pobudzenie następowało nieraz z przyczyn zupełnie przypadkowych, czy marginesowych. Była więc wbrew pozorom, nieraz mało zorientowana, korzystała z informacji zupełnie przypadkowych i działała w ramach pewnego chaosu organizacyjnego. Starła się jednak, i to było nieraz groźne w skutkach, reagować na każdą informację, która dochodziła do wiedzy decydentów. W sumie przecież dużym nakładem kosztów i wysiłków uzyskiwała często rezultaty „merytoryczne” równe zeru. Faktem jednak, wartym podkreślenia, jest i to, że od około 1958 r. ciż decydenci wracają na stare koleiny tropiąc w każdym drobiazgu owe niebezpieczne symptomy „działalności antypaństwowej”. Rzecz jasna, od epoki i jej decydentów zależało co rozumieć za tzw. działalność antypaństwową, czy równie mgliście definiowane „wrogie nastawienie do ustroju”, które z reguły zamykało na długie lata drogę do profesury. Byłem dobrze zorientowanym w środowisku quasi opozycyjnym profesury krakowskiej, którym poświęcona jest niniejsza książka i stwierdzam, iż w rozumieniu prawa karnego w miarę rzetelnym żaden z tych profesorów (z częściowym tylko może wyjątkiem Felczaka) nielegalnej sensu stricto działalności antypaństwowej nie prowadził. O takiej działalności w odniesieniu do takich postaci jak profesorowie Barycz, Ingarden czy Vetulani i Pigoń, nie mówiąc o całkowicie lojalnie a nawet gorliwie popierającym nowy ustrój Konstantym Grzybowskim, mowy być nie mogło. Faktem jednak jest, iż każdy niemal kontakt z osobami żyjącymi na emigracji (nawet jeśli były to kontakty towarzyskie, czy naukowe), związki z cudzoziemcami, wszelkie wypowiedzi krytyczne o bieżącej sytuacji w kraju, w ogóle wypowiedzanie jakichkolwiek wypowiedzi niezależnych już budziły zaniepokojenie służb specjalnych i zakładanie „teczek”, mozolnie następnie, nawet jeżeli bez godnych uwagi skutków, kompletowanych przez długie lata. Nie cofano się (jak wynika z ustaleń R. Terleckiego) przed niczym: podsłuch telefoniczny, kontrola korespondencji pocztowej, nawet podsłuchy zakładane w mieszkaniach osób inwigilowanych, były na porządku dziennym³. Kontynuowano wobec poszczególnych osób

³ M.in. podsłuchy zainstalowano w mieszkaniach profesorów Henryka Barycza i Adama Vetulaniego. Notabene w ówczesnych kręgach niezależnych, w których się obracałem, brano z reguły pod uwagę możliwość podsłuchu w mieszkaniach poprzez

takie działania, choć nie dawały żadnych rezultatów merytorycznie dla policji politycznej istotnych. Jeżeli tak było w stosunku do osób, które w istocie były zupełnie niepotrzebnie obserwowane, to można sobie wyobrazić, jak wyglądała inwigilacja tych postaci, których postawa polityczna i konkretne wystąpienia były notoryjnie znane. Stąd sonda źródłowa profesora Terleckiego, choć pozornie może nie przynosi rewelacyjnych ustaleń, stanowi moim zdaniem mocny dowód na pogląd – reprezentowany przez niżej podpisanego od lat – iż wbrew wielu nazbyt optymistycznym poglądom – ustroj PRL od początku do swego ostatniego tchnienia był „w swej istocie” ustrojem totalitarnym. Fakt, iż od 1956 r. odstąpiono od terroru masowego, terroru aberracyjnego, nie zmienia stwierdzenia, iż było to aż do końca państwo policyjne, które zachowało podstawowe znamiona ustroju totalitarnego. Są teoretycy nauk politycznych, którzy tak formułują „klasyczny” model państwa totalitarnego, iż okazuje się, iż brak w XX w. realnych jego wcieleń. Nie wchodząc w te zawiłe dyskusje należy zauważyć, iż wszystkie kraje komunistyczne, także i dziś, choć w różnych wariantach, reprezentowały i nadal reprezentują podstawowe cechy państwa totalitarnego.

Przechodząc do rozważań szczegółowych nad treścią książki R. Terleckiego należy zauważyć, iż generalnie (mimo pewnych „priorów” lat 1945–1955) dotyczy ona kwestii działań SB po 1955 lub dopiero od około 1958 r., kiedy epoka klasycznego „polowania na czarownice”, kończonego tajnymi, bądź pokazowymi procesami, była już przeszłością a SB prowadziła swe inwigilacje głównie dla celów quasi profilaktycznych, bądź nawet wyłącznie dla wykazywania się jakąkolwiek działalnością z braku prawdziwych szpiegów, czy dywersantów do zdemaskowania. Mamy bowiem w szkicach autora, poza kilkoma śledztwami natury indywidualnej (jak inwigilacja W. Felczaka) głównie grupę profesorów UJ sympatyków ruchu ludowego, bądź wręcz przyjaciół czy znajomych profesora Stanisława Kota (1885–1975), którzy znaleźli się w orbicie prowadzonego długie lata dochodzenia pod kryptonimem „Wenecja”. Stanisław Kot, historyk kultury i oświaty staropolskiej był przecież całe życie pasjonatem polityki, działaczem PSL, ministrem i szarą eminencją w otoczeniu gen. Sikorskiego w Paryżu i Londynie. Moje z nim ciekawe kontakty częściowo opisa-

instalację telefoniczną, co usiłowano neutralizować przez wyłączenie (rzadko możliwe) aparatu z sieci, bądź np. przez zagłuszanie rozmowy szumem spuszczonej wody w łazience. Czy było to skuteczne nie wiem do dziś...

łem niedawno⁴ i szkoda, że mego tekstu R. Terlecki nie zauważył. Jak wiadomo historykom, jako polityk S. Kot wywoływał oraz nadal wywołuje wiele opinii krytycznych. Po epizodzie mikołajczykowskim stał się ponownie wrogiem reżimu a jego różne próby kontaktów z krajem, wywoływały duże zainteresowanie władz bezpieczeństwa z przesadą upatrujących w jego prywatnych na ogół kontaktach groźnych planów konspiracji antypaństwowej⁵. Notabene nawet prywatna chęć jakiegokolwiek emigranta politycznego czerpania z nieoficjalnych źródeł wieści o tym „co się w kraju naprawdę dzieje” wywoływała w biurach SB bez reszty ogarniętych manią spiskową, wręcz przerażenie. I tak przez długie lata w obawie jakiejś próby (przecież nierealnej) odrodzenia w kraju autentycznego ruchu ludowego pod wodzą profesora Kota, inwigilowano grono osób, do których należeli dwaj umiłowani i wierni uczniowie Kota – Henryk Barycz (1901–1994), wielki badacz historii kultury staropolskiej, oraz Jan Hulewicz (1907–1980), bodaj najbliższy profesorowi Kotowi z uwagi na więzi polityczne a także czołowy historyk oświaty i nauki polskiej, następnie profesor okulistyki w Zabrzu Józef Japa, który swój awans na listę podejrzanych zawdzięczał faktowi bez-dyskusyjnemu, iż jako zięć Kota utrzymywał z nim, mimo wszelkich trudności, stałe kontakty, a także inni profesorowie, bliscy zazwyczaj autentycznemu ruchowi ludowemu i związani ze Stanisławem Kotem przyjaźnią, jak Adam Vetulani (1901–1976), historyk prawa polskiego i światowej sławy kanonista, jak profesor Ignacy Zarębski (1905–1974), także wychowanek Kota oraz zgoła ubocznie w to wszystko wmieszany wielki filozof Roman Ingarden (1893–1970), czy głośny krakowski historyk literatury, sympatyk ruchu ludowego – Stanisław Pigoń (1885–1968). Uczeni ci z reguły nie mieli już dobrej pozycji u władz przed 1956 r. Roman Ingarden jako przedstawiciel „filozofii idealistycznej” był od lat atakowany przez środowisko tzw. marksistów. Na Wydziale Prawa UJ profesor Adam Vetulani postrzegany był przez aktyw młodzieżowy już w latach pięćdziesiątych jako klerykał, wrogi nowej rzeczywistości. Jan Hulewicz był już wielokrotnie przedmiotem zainteresowań UB w latach czterdziestych, nie tyle może z uwagi na swoją żonę, z którą już

⁴ O tym jak właśnie za pośrednictwem prof. Hulewicza wszedłem w bliskie związki z profesorem Kotem por. S. Salmonowicz, *Rozmowy ze Stanisławem Kotem*, [w:] tenże, *Polski wiek XX*, ss. 110–122.

⁵ Kwestie te nie znalazły większego odbicia w monografii T. P. Rutkowskiego, *Stanisław Kot 1885–1975. Biografia polityczna*, Warszawa 2000.

się faktycznie rozszedł⁶ ale ze względu na bliskie związki z czołowymi działaczami PSLu ówczesnego, którzy już wówczas padli ofiarą represji sądowych (Stanisław Mierzwa, Karol Buczek i in.). Fakt jednak, iż SB wróciło do inwigilacji szczegółowej tego kręgu osób wiązało się z ustaleniem przez organa policyjne kontaktów tej grupy z profesorem Stanisławem Kotem przebywającym na stałe w Londynie. Podjęcie tych zainteresowań na całego od 1959 r. wskazuje w pewnym sensie, iż zakończył się trwający, przynajmniej do początków 1958 r., zamęt kadrowy i organizacyjny służby bezpieczeństwa po konsolidacji systemu rządów Władysława Gomułki i rozgromieniu tzw. liberałów, czy rewizjonistów w kierownictwie partii: w styczniu 1960 r. ostatni z aktywnych tego typu działaczy partyjnych, Jerzy Morawski, utracił stanowisko członka Biura Politycznego PZPR⁷. Tak więc brak w pewnym sensie „wroga” na płaszczyźnie środowisk „Października 1956” spowodował, iż organa SB zajęły się bliżej kontaktami polskich uczonych, czy literatów z „Zachodem”, ponownie określanym jako „obóz imperialistyczny”. Trzeba zaś pamiętać, iż właśnie od końca 1957 i co najmniej po 1960–1961 odrodzone kontakty ludzi kultury i nauki z Polski z krajami zachodnimi, a także rodzinne, towarzyskie, czy ideowe powiązania z Polakami na emigracji, rozwijały się dość pomyślnie: sporo osób podróżowało na Zachód, czas jakiś kursowała stosunkowo swobodnie poczta dostarczając wiele publikacji przedtem i potem, formalnie czy nieformalnie, obłożonych zakazami⁸.

⁶ Autor parokrotnie wspomina Marię Hulewiczową (+ 1978), która była związana w czasie wojny i po wojnie czas jakiś z S. Mikołajczykiem i gen. S. Tatarem, co spowodowało jej odejście od męża. Po powrocie do kraju była formalnie sekretarką Mikołajczyka i uciekała równocześnie z nim z kraju, lecz ujęta na jesieni 1947 r. w Czechosłowacji i wydana UB po długim śledztwie i wyroku wyszła na wolność dopiero w 1956 r., ale wkrótce wyszła za męża za reżimowego literata wojskowego Janusza Przymanowskiego i odtąd należała do establishmentu PRL co ukazał jej reprezentacyjny pogrzeb na Powązkach w marcu 1978 r.

⁷ Notabene autor wspominając J. Morawskiego pomylił jego imię określając go jako Kazimierza Morawskiego, co spowodowało, iż w indeksie osobowym został połączony z Kazimierzem Morawskim, prezesem PAU i głośnym przed I wojną światową filologiem klasycznym.

⁸ Problem dopływu zakazywanej w kraju literatury emigracyjnej czeka nadal na historiografa. Pamiętam, iż krótko po Październiku 1956 r. otrzymywałem przesyłki książkowe z „Zachodu”, które były adresowane na Dział Czapskich krakowskiego Muzeum Narodowego, gdzie miałem znajomych. Notabene to dopiero po tzw. procesie taterników w 1970 r., kiedy obrona kwestionowała podstawy prawne konfiskat i oskarżeń o kolportaż publikacji z zagranicy, władze, które generalnie ciągle powoływały się na ogólnikowe przepisy tzw. małego kodeksu karnego, opublikowały jednak następnie w „Monitorze Polskim” oficjalny zakaz wwozu do

Zakrojona na szeroką skalę inwigilacja osób mających jakieś związki z Stanisławem Kotem przyniosła przecież rezultaty dość miżerne. Po pierwsze, gros tych kontaktów miało charakter wyłącznie naukowy i towarzyski, przyjacielski. Jedyne elementy, które mogły rzeczywiście interesować czynniki policyjne to była sprawa wymiany poglądów na temat Kraju, nie była to oczywiście żadna akcja szpiegowska, lecz rzecz w każdym normalnym kraju demokratycznym zwyczajna, jednakże system totalitarny każdą wymianę poglądów odgórnie nie kontrolowaną uważał za niebezpieczną. O tym, iż wysiłki władz bezpieczeństwa nie dawały wystarczających rezultatów świadczą m.in. moje kontakty z S. Kotem, które częściowo opisałem. Dodam, iż oczywiście takie związki przez Jana Hulewicza i innych były traktowane z reguły bardzo dyskretnie. Mam wrażenie, iż SB nigdy nie dowiedziała się o moich związkach z S. Kotem bowiem nawet w czasie moich kłopotów więziennych 1970/71 nigdy sprawa ta nie była przedmiotem śledztwa a pewne aspekty mego pobytu we Francji 1960/61 pozostały na długie lata tylko w mojej pamięci⁹. Warto więc przypomnieć, iż po moim artykule polemicznym w „Tygodniku Powszechnym” przeciw Stanisławowi Catowi–Mackiewiczowi profesor Vetulani przedstawił mnie Hulewiczowi. Wkrótce dostałem, przez osoby trzecie, gratulacje od samego Stanisława Kota. Następnie w związku z moim wyjazdem na stypendium do Francji w listopadzie 1960 r. widziałem się ze Stanisławem Mierzwą a Jan Hulewicz przekazał mi w jaki sposób mogę się skontaktować z S. Kotem. Korespondencja dla S. Kota we Francji szła na nazwisko Stanisława Lama do paryskiego „Hôtel de la Malte” (rue Richelieu), w którym to hotelu zazwyczaj zamieszkiwał profesor Kot w Paryżu. Nawiązałem z nim korespondencję z Nancy, gdzie studiowałem, następnie spotkaliśmy się w Paryżu na dłuższe rozmowy a potem, przed moim powrotem do kraju w czerwcu 1961 r., przez cały tydzień przebywałem wraz z prof. Kotem w uzdrowisku Royat koło Clermond–Ferrand. On starał się uzyskać moje i nie tylko moje opinie o sytuacji w Polsce, sam udzielał swych uwag o problematyce międzynarodowej, był ciekaw wieści o zna-

Polski wydawnictw paryskiej „Kultury”. Stąd gdy w latach 1971–1972 walczyłem o zwrot książek skonfiskowanych mi w czasie rewizji, ten przepis zastosowano, by odmówić mi zwrotu wydawnictw „Kultury”.

⁹ O wysiłkach SB inwigilującej prof. Hulewicza pisze R. Terlecki, s. 116: „Ani jednak podsłuch telefoniczny, ani kontrola korespondencji nie przynosiły informacji, co do których SB mogłaby mieć nadzieję, że kiedykolwiek przydadzą się do wykrycia jakiegoś faktycznego, a nie wymyślanego przestępstwa...”.

jomych z Krakowa i przekazywał im te czy inne swoje prośby, uwagi itd. Ja ze swej strony jako początkujący historyk czasów najnowszych nade wszystko usiłowałem z tak ważnego źródła uzyskać informacje co do wielu spraw okresu lat 1939–1945. Stanisław Kot miał pamięć niezwykłą, uczonym był wielkiej klasy, rozmówcą czarującym i człowiekiem w osobistych kontaktach sympatycznym, jednakże wyczuwało się w jego wypowiedziach temperament polityczny wybuchowy, człowieka może nazbyt podejrzliwie i personalnie traktującego sprawy życia politycznego. Epoka sanacyjnych dyskryminacji pozostawiła w nim może zbyt wiele goryczy, nie zawsze zdolnym był do koniecznych w polityce kompromisów, zbyt łatwo „wszystkim wszystko pamiętał”... Niekiedy nadmiernie demonizowany w różnych wypowiedziach emigracyjnych doczekał się także swego rodzaju demonizacji z drugiej strony: organa Służby Bezpieczeństwa jeszcze w latach sześćdziesiątych widziały w jego krakowskich kontaktach ogromne niebezpieczeństwo, być może dlatego wyolbrzymiane, iż towarzysze oficerowie nie mieli w tej epoce nadmiaru obowiązków...

Bardzo interesujący jest omówiony przez autora casus Wacława Felczaka (1916–1993), czołowego działacza polskiej tajnej placówki w Budapeszcie przez cały okres wojny, człowieka znanego z brawurowych akcji kurierskich, które kontynuował także dla działań konspiracyjnych w latach 1945–1948. Aresztowany w czasie kolejnej ryzykownej wyprawy do Polski w grudniu 1948 r. w Morawskiej Ostrawie i przekazany polskiemu UB Felczak, po bardzo ciężkim śledztwie, został skazany w tajnym procesie na dożywocie. Ostatecznie wypuszczony warunkowo z powodu ciężkiego stanu zdrowia 30 X 1956 r. (a więc w sumie po blisko 8 latach więzienia) wobec zmian politycznych w kraju już do niego nie wrócił, a nawet (głównie dzięki prof. Wereszyckiemu) mógł pracować naukowo wracając do swej pasji historyka jako asystent na UJ. Oto – jak wynika z ustaleń R. Terleckiego – na sygnał (dość przypadkowy) od służby bezpieczeństwa na Słowacji nasza SB od 1959 r. podjęła na nowo szeroko zakrojone działania obserwacyjne dr. Felczaka, notabene czas długi nawet nie znając dokładnie jego przeszłości konspiracyjnej! Tak się składa, iż z najbliższym ówczesnie kolegą uniwersyteckim Felczaka a moim przyjacielem, dziś profesorem UJ Michałem Pułaskim, miałem nieraz do czynienia z Felczakiem, zwłaszcza do czasu mego wyjazdu z Krakowa (1966). Postać wybitna, z czasem najlepszy znawca historii Węgier w polskiej historiografii, ale nade wszystko był człowiekiem o twardej postawie moralnej oraz politycznej, której świadome było szersze gro-

no ludzi (i za tym szły różne dyskryminacje epoki PRLu). Natomiast tylko bardzo wąskie grono ludzi, do których miał pełne zaufanie (a był człowiekiem bardzo ostrożnym, na co także narzekają pracownicy SB)¹⁰ znało bliżej jego życiorys i poglądy. Mimo różnych prób osaczenia Felczaka SB nie mogła się pochwalić poważniejszymi rezultatami, a do jego dyskretnych kontaktów z dysydentami węgierskimi ówczesnie, ani polska, ani węgierska służba bezpieczeństwa nie dotarły. Felczak dobrze sobie zdawał sprawę z tego, iż jest pilnie obserwowany. Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż jeżeli część (nie za wielka...) środowiska Instytutu Historii UJ pozostawała w kręgu myśli niezależnej, zachowując dystans wobec władz i ich poczynań, to było to nade wszystko zasługą dwóch ludzi: Wacława Felczaka i Henryka Wereszyckiego. To właśnie owo „politykowanie przy kawie”¹¹, które zresztą odbywało się w różnych okresach w różnych lokalach i w różnym nieraz składzie (m.in. z Wydziału Prawa Stanisław Grodziski i niżej podpisany, Andrzej S. Kamiński i in.) miało w tych latach upadku nadziei związanych z Październikiem swój wymierny walor¹². Wacław Felczak pozostał w mojej pamięci jako sylwetka człowieka niezwykle szlachetności a zarazem wierności całe życie zasadzie demokratycznego sprzeciwu wszelkiej formie totalitaryzmu.

Przejdźmy teraz do interesującego przypadku jaki stanowiła inwigilacja SB profesora Konstantego Grzybowskiego. Obserwowanie profesorów Adama Vetulaniego, czy Henryka Barycza wydaje się zwykłą stratą czasu i pieniędzy służb specjalnych a co dopiero gdy chodziło o interesowanie się wybitnym prawnikiem Konstantym Grzybowskim (1901–1970), barwną postacią krakowskiej profesury, także z uwagi na jakże zmienne koleje jego politycznych, oficjalnie głoszonych poglądów. Jako zięć Stanisława Estreichera był przed II wojną światową zdecydowanie związany z kręgami konserwatywnymi. Bezpośrednio po wojnie należał do tych nielicznych profesorów UJ, którzy równie zdecydowanie zaakceptowali nową rzeczywistość. Wstąpił wówczas K. Grzybowski do koncesjonowanej PPS i należał do publicystów dobrze widzianych przez władze już w latach 1946–1948. W la-

¹⁰ Por. R. Terlecki, op. cit., s. 70 n.

¹¹ Por. R. Terlecki, op. cit., s. 70.

¹² Por. S. Salmonowicz, *Autobiografia naukowa*, [w:] *Historia socjologii polskiej i nauk prawnych w autobiografiach*, część I, pod red. J. Leońskiego i T. Rzepy, Szczecin 1996, s. 222, gdzie napisałem, że dla nas wszystkich autorytetem moralnym i naukowym pozostawał Henryk Wereszycki, a przecież człowiekiem może mu najbliższym był właśnie Wacław Felczak.

tach 1948–1951 był dziekanem Wydziału Prawa UJ. Pewne kłopoty a nawet konieczność przejścia na pozycję bezpartyjnego (nie został przyjęty do PZPR) przyniósł mu fakt, iż jego syn był mocno wmieszany w głośną i tragiczną (jeden wyrok śmierci wykonany, szereg wysokich kar więzienia) sprawę krakowskiej konspiracji młodzieżowej związanej w Liceum im. Króla Jana Sobieskiego. Tylko z trudem zdołał profesor Grzybowski uratować syna od poważniejszych kłopotów¹³. Nie jest jasne dlaczego po latach UB i SB zainteresowały się osobą K. Grzybowskiego, który przecież niezmiennie po roku 1956 pozostawał jako ceniony publicysta i uczyony na pozycjach „liberalnego sceptyka”, jednakże popierającego rzeczywistość komunistyczną, choć nieraz wypowiadał subtelnie pewne zastrzeżenia, raczej formalne, niż merytoryczne. Notabene odszedł od wykładów prawa państwowego PRL zajmując się odtąd do końca życia głównie historią doktryn i prawa co przyniosło mu spory autorytet naukowy. K. Terlecki opisał dawniejsze i wznowione zainteresowania czynników policyjnych profesorem Grzybowskim, którego nawet usiłowano w 1955 r. nakłonić do współpracy z UB co on zdecydowanie odrzucił. Jego publicystyka późniejsza, a może zdecydowane zaangażowanie się w antyklerykalne kampanie spowodowały zapewne, iż wreszcie w 1960 r. SB uznała, iż brak podstaw do obserwowania jego działalności. O K. Grzybowskim pozostało wiele wypowiedzi krytycznych (m.in. S. Kisielewskiego) ale w Warszawie, zarówno w kuluarach Polskiej Akademii Nauk, jak i w mediach epoki (telewizja, „Polityka” itd.) był wysoko ceniony, kiedy to nie wykraczając poza ramy urzędowo zakreślone, wprowadzał przecież pewien nastrój samodzielnego myślenia. Od ewentualnych konsekwencji mógł się zawsze odwołać do wysokiej protekcji jaką stanowiła dawniejsza znajomość z Józefem Cyrankiewiczem¹⁴.

Na zakończenie tych mocno osobistych refleksji jakie nasuwała mi lektura książki Ryszarda Terleckiego jeszcze kilka luźnych uwag. Otóż autor przy sprawie inwigilacji profesora Stanisława Piętonia wspomniał, iż wiadomo było SB, że podpisał on słynny „List 34”. Nie wiem, czy w materiałach studiowanych przez prof. Terleckiego znalazły się i inne wzmianki o zbieraniu podpisów pod ów protest w Krakowie a kwestia to warta wspomnienia bowiem dotyczy m.in. profesorów inwigilowanych przez SB i świadczyć może dodatkowo, iż jed-

¹³ Por. o tej sprawie S. Grzybowski, *Wspomnienia*, Zakamycze 1999, s. 727–728.

¹⁴ Por. uwaga R. Terleckiego, s. 88–89. Także Karol Estreicher był człowiekiem blisko związanym z J. Cyrankiewiczem, por. S. Grzybowski, op. cit., s. 775–776.

nak SB nie była tak wszechwiedząca, jak to wielokrotnie przedstawiano, czasem notabene tylko dlatego, by ze strachu nie wziąć udziału w jakimś „proteście”. Głośny „List 34” otrzymał swoją nazwę od liczby osób, które go definitywnie podpisały. Nikt jednak chyba do tej pory nie ustalił pełnej liczby tych, którym ten podpis proponowano a którzy – z tych czy innych przyczyn – podpisu nie złożyli. Jak te sprawy wyglądały w Warszawie opisał niedawno szczegółowo Jerzy Eisler¹⁵, który wiedział oczywiście także o podróży po podpisy do Krakowa Jana Józefa Lipskiego ale szczegółów dokładnie nie wiedział. W Krakowie Lipski korzystał przy zbieraniu podpisów głównie z pomocy dwóch osób – Jana Prokopa, historyka literatury, czas jakiś współpracownika „Tygodnika Powszechnego”, dziś profesora literatury polskiej oraz z usług mojej osoby, wówczas adiunkta Wydziału Prawa i Administracji UJ¹⁶. Lipski był od lat przyjacielem Prokopa, ja znałem Lipskiego także od października 1956 a przyjaźniłem się z Prokopem i z tzw. młodą redakcją ówczesnego „Tygodnika Powszechnego” (Antoni Łubkowski i in.). Lipskiego nieraz odwiedzałem w Warszawie, ale starałem się to robić dyskretnie wiedząc o zainteresowaniu jego osobą w organach SB i stąd odwiedzałem go raczej w Instytucie Badań Literackich pod pozorem poszukiwań bibliograficznych. Jak wyglądała sprawa zbierania podpisów przez Lipskiego w Krakowie? Z jednej strony Lipski i Prokop wykorzystali kontakty „tygodnikowe” i literackie (m.in. obok Pigoń podpisał K. Wyka oraz ówczesny szef Prokopa profesor Karol Estreicher jr., czego później zresztą żałował), a z drugiej strony ja starałem się pozyskać podpisy historyków i prawników. Lipski miał w ręku autentyczny egzemplarz „Listu” z podpisami luminarzy polskiej literatury z Warszawy ale przyjechał do Krakowa tylko na kilka godzin. Przykładowo z braku czasu nie udało się dotrzeć ani do profesora Barycza, ani do profesora Wereszyckiego. Z najwyższym trudem o godzinie 21 przyjął nas w domu prof. Ludwik Ehrlich, który jednakże po rozmowie odmówił podpisu, a także rozmawialiśmy w katedrze przy ul. Straszewskiego 27 z prof. Adamem Vetulanim, innym bohaterem książki R. Terleckiego. W przeciwieństwie do dość sofistycznej i nieszczerzej moim zdaniem odmowy L. Ehrlicha (co potwierdza materiał R. Terleckiego, iż unikał on po kłopotach lat pięćdziesiątych nawet cienia nielojalności wobec

¹⁵ Por. ogólnie J. Eisler, *List 34*, Warszawa 1993.

¹⁶ Por. opis mego pióra: S. Salmonowicz, *Wokół listu 34*, *Dzieje Najnowsze*, t. 26: 1994, z. 3, s. 223–224.

reżimu)¹⁷, to profesor Adam Vetulani oświadczył mi szczerze, że właśnie czeka – po raz pierwszy od wielu lat – na obiecany mu paszport zagraniczny i zdaje sobie sprawę, iż ten podpis na długie lata przekreśla wszelkie starania, a wiary w jakieś większe znaczenie takich protestów nie ma. Była to moim zdaniem uczciwsza postawa, niż tych profesorów, którzy początkowo protest podpisali a potem zdezawutowali swe podpisy w liście do „Times’a”: wśród 10 osób, które tak uczyniły byli niestety K. Wyka i K. Estreicher¹⁸. Na korzyść Karola Estreichera dodam jednak małe uzupełnienie informacji R. Terleckiego: 13 III 1968 r. byłem osobiście świadkiem słynnego szturm M.O. na budynek Collegium Novum UJ, gdzie chronili się uciekający przed pałkarzami studenci. Obserwowałem zajście z balkonu budynku przy ul. Straszewskiego 27 (Zespół ówczesny Katedr Historii Prawa UJ) czyli dokładnie naprzeciw frontonu budynku Collegium Novum. Kiedy milicjanci i wozy z armatkami wodnymi, goniąc uciekających przed nimi studentów, dotarli do wejść do budynku, ówczesny prorektor UJ Karol Estreicher wybiegł z Collegium Novum i usiłował imieniem władz UJ wstrzymać działania M.O. Jego próba rozmowy z oficerem M.O. zakończyła się pobiciem Estreichera przez zomowców i warto o tym pamiętać.

Wypowiadam się raz jeszcze za ujawnianiem nazwisk osób, które w przeszłości odgrywały rolę publiczną a więc historyczną a jeżeli była ona niesławna to przecież tym gorzej dla zainteresowanych: ładnie wyglądała by historia gdybyśmy w ramach poprawności politycznej mieli pisać tylko o osobach, którym nic zarzucić nie można!¹⁹

¹⁷ Por. R. Terlecki, op. cit., s. 32.

¹⁸ K. Estreichera, bliskiego mojemu profesorowi Michałowi Patkaniowskiemu, znałem od lat, także pod jego kierunkiem kończyłem wielce trudny kurs przewodników po Krakowie wraz z prof. S. Waltosiem, który po latach został następcą Estreichera w Muzeum UJ. Estreicher, postać niezwykle barwna ale i trudna w sposobie bycia, został krytycznie przedstawiony we wspomnieniach S. Grzybowskiego, op. cit., s. 706–709, 776–780.

¹⁹ Niejaki dr J. S. wielokrotnie pisywał donosy. Na s. 205–206 autor relacjonuje jego donos z 2 IX 1968 dotyczący wizyty docenta UMK W. Langa w Krakowie, którego oskarża nie tylko o poglądy „rewizjonistyczne i proizraelskie” w rozmowach m.in. z rektorem reżimowym Mieczysławem Klimaszewskim. Być może autor widzi słusznie w tym jakąś intrygę miejscową roku 1968. Wiadomo mi jednak od dawna, iż profesor Lang z określeniem „rewizjonista” przeniósł się w 1965 r. do Torunia pozostawiając w Krakowie liczne grono wrogów w uczelnianej organizacji partyjnej na czele z T. Hanauskim co miało przysporzyć mu kłopoty także i w Toruniu. Prof. Lang, którego zapoznałem z dotyczącym go fragmentem tekstu, uznał go za całkowite zmyślenie a w szczególności żadnych rozmów z rektorem Klimaszewskim nie

Parokrotnie wspomniany przez autora działacz partyjny, z którego informacji szeroko korzystała SB to Tadeusz Hanausek, wieloletni sekretarz PZPR Wydziału Prawa i Administracji UJ a potem równie wieloletni I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeżeli pełniło się funkcję takiej wagi dla minionej epoki to nie można obecnie używać wobec tej osoby określenia „towarzysz H.”. Podobnie nie widzę powodu dlaczego szeroko ówczesnie znaną na uniwersytecie wątpliwą działalność małżeństwa Linderskich, skierowaną przeciw profesorowi Henrykowi Wereszyckiemu (a także m.in. przeciw prof. Józefowi Wolskiemu, który był ówczesnie kierownikiem katedry, w której pracował dr Jerzy Linderski) pozostawiać pod ochroną inicjałów tych osób. Notabene stosowanie w różnych sytuacjach tylko inicjałów nazwisk na przykład autorów donosów może prowadzić do fatalnego skutku: przy mylnej identyfikacji takich spraw obciąży środowisko ludzi niewinnych... Czy o to ma nam chodzić? Dotykam tu zasadniczego problemu odpowiedzialności elit za minioną epokę. Daleki jestem od wszelkich polowań na czarownice ale pisanie o epoce nie może być anonimowe. Nie chodzi o żadną, iluzoryczną dziś odpowiedzialność zawodową, czy nawet prawną, ale jeżeli mamy pisać o minionej epoce na serio to nie może to być opis pozbawiony nazwisk.

Podsumujmy nasze rozważania, których punktem wyjścia były ustalenia Ryszarda Terleckiego. Uniwersytet Jagielloński, zarówno w trudnej dobie stalinowskiej, jak i w czasach Gomułki, utrzymywał generalnie godność uczelni i jej najlepszych tradycji. Jeżeli różne motywy kierowały działaniami wątpliwymi, czy wręcz niegodnymi niewielkiej części starej profesury, to przecież gros środowiska zachowywało postawę powściągliwą i daleką od entuzjazmu dla powojennej rzeczywistości, a nawet na Wydziale Prawa UJ, szczególnie siłą rzeczy podatnym na imperatywy nowej sytuacji prawnej, postawę niezależną, obok głównych bohaterów książki prof. Terleckiego, zachowywali także inni profesorowie mojej młodości: Waław Osuchowski i Michał Patkaniowski, Stanisław E. Nahlik i Jerzy Lande, Jan Gwiazdomorski, Stefan Grzybowski, Waław Brzeziński i wielu młodszych wiekiem. Kończę stwierdzeniem, że tego typu studia rozważne,

prowadził. Zapewne donosiciel wywodzący się z Wydziału Prawa UJ chciał zaszkodzić nie tylko W. Langowi ale i prof. Stanisławowi Włodyce w tym donosie a dołożył do sprawy wzmiankę o rektorze dla skłonienia SB do zainteresowania się tematem. Notabene brak identyfikacji donosiciela nie pozwala na dalsze rozważania.

umiarkowane we wnioskach, winny być kontynuowane, mogą przez pryzmat indywidualnych losów ludzi w ten czy inny sposób „uwikłanych w te czkach” tajnej policji ukazywać mechanizmy terroru, rzucać światło na epokę totalitaryzmu, coraz mniej rozumianą przez pokolenia, które jej nie przeżyły.